

Prawo i przemoc

Paweł Grad

Kłamstwo ostateczne

Chrześcijaństwo objawiło ludziom naturę przemocy. Chrystus, zmartwychwstając po męce, nie pozwolił, aby pamięć o Jego pełnym przemocy procesie sądowym została zagarnięta przez oprawców. Po Zmartwychwstaniu to do Niego, niewinnego Baranka, należy ostateczne słowo w tym procesie, zgodnie z tym, co zapowiedział: „Teraz władca tego świata zostanie precz wyrzucony” (J 12, 31). Jest to słowo, które poucza nas „o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie” (J 16, 8) – odsłania i nazywa mechanizmy pożądania i przemocy, które mogły być skuteczne tylko dlatego, że były niejawne. Ostatecznie każdy demon i każdy grzesznik wie, że jego pożądanie jest niesprawiedliwe i nieuzasadnione, że jest buntem. Aby w nim trwać, musi więc przedstawiać je jako sprawiedliwe i uzasadnione, musi kłamać i ukrywać to pożądanie: „My mamy prawo, a według prawa powinien on umrzeć” (J 19, 7). Chrystus, zmartwychwstając i przez swojego Ducha ucząc nas o grzechu i sprawiedliwości, ucząc nas o prawdziwej historii swojej śmierci i Zmartwychwstania, ostatecznie niweczy to kłamstwo. Trwają jego skutki, ale ono samo staje się jawne: „aby na jaw wyszły zamysły serc wielu” (Łk 2, 35). Gdy staje się jawne, przestaje nas zniewalać, a władza posługujących się nim demonów i ludzi zostaje złamana: „On wymazał obciążający nas wykaz długów, który usunął, przybijając do krzyża. Rozbroił zwierzchności i władze i w nim tryumfalnie je poprowadził, wystawiając na pokaz wobec wszystkich” (Kol 2, 14-15). Kłamstwo zdemaskowane i wystawione na pokaz przestaje być skuteczne.

Po objawieniu chrześcijańskim niemożliwy jest prosty powrót do niewoli tych samych kłamstw przemocy i pożądania. Władca tego świata został precz wyrzucony. Dlatego kultura postchrześci-

jańska – czyli te części naszego współczesnego życia społecznego, które wyrwały się spod władzy nowego prawa Ewangelii – musi znaleźć nowy rodzaj kłamstwa, żeby usprawiedliwić swoje pożądanie i przemoc. Kłamstwo to jest przewrotne, bo utkane z nici prawdy, którą przyniosło Objawienie chrześcijańskie. Postchrześcijańska perwersja wykorzystuje chrześcijański sprzeciw wobec przemocy i pożądania, aby usprawiedliwić swoją własną przemoc i pożądanie. Cywilizacja, w której nieustannie tropi się rozmaite formy przemocy fizycznej i symbolicznej, walczy o emancypację uciśnionych mniejszości, cywilizacja, która wypowiedziała wojnę przemocy, sama jest cywilizacją przemocy. Jej „miłosierdzie” jest zwariowaną cnotą chrześcijańską, która nie służy zachowaniu prawdziwego pokoju i zniweczeniu grzesznych pożądań oraz przemocy, ale ponownemu ukryciu rzeczywistego grzechu i pożądania pod płaszczem walki z przemocą. Szatan ma wciąż ten sam cel: przemoc i dręczenie stworzenia. Zmienia jedynie kłamstwa, którymi się posługuje. W czasach ostatecznych sięga po kłamstwo ostateczne: rozbite elementy chrześcijańskiej prawdy o niewinnej ofierze zostają użyte, by ukryć winę i pożądanie ludzi, których szatan dręczy i kusi – a więc nas wszystkich.

To nowe, postchrześcijańskie kłamstwo „faryzeuszy ducha” opiera się na manipulacji pojęciem prawa. „Prawo samo” w cywilizacji chrześcijańskiej, w cywilizacji Ewangelii, jest – jak u św. Pawła – „bezsprzecznie święte; święte, sprawiedliwe i dobre jest też przykazanie” (Rz 7, 12). Oczywiście, Ewangelia przynosi nie tylko prawo, które poucza nas o tym, co dobre, ale też łaskę, która pozwala je wypełnić – inaczej niż prawo Starego Testamentu i być może w ogóle każde prawo, które bez łaski i ducha „zabija”, tzn. ujawnia grzech i niesprawiedliwość, nie dając środków, by je przewyciężyć. Niemniej „wyzwolenie od prawa grzechu i śmierci” (Rz 8, 2) nie oznacza zniesienia „bezsprzecznie świętego prawa”, ale uzdolnienie, aby móc je wypełnić. Kłamstwem, które zostało przybite do krzyża, było nie samo „święte prawo”, ale prawo śmierci, czyli grzech i pożądanie tych, którzy kłamali, że „według prawa powinien On umrzeć”.

Postchrześcijańska manipulacja polega na uznaniu, że „prawo śmierci”, o którym pisał św. Paweł, to „prawo w ogóle”, każde prawo: każda norma, która wskazuje człowiekowi pewien

cel i określa sposoby jego osiągnięcia. Prawo samo nie jest już „święte”, ale jest złe, jest narzędziem „opresji” i „przemocy”. Usprawiedliwienie grzechów w cywilizacji przemocy polega na uznaniu, że źródłem zła nie jest sama przewrotna wola i pożądanie, ale prawo, które stawia im opór, stawiając wymagania. Gdyby bowiem nie było tego prawa, nie byłoby grzechu, a więc aby usunąć grzech i cierpienie, należy usunąć samo prawo – tak brzmi przewrotna interpretacja słów św. Pawła: „gdy nie ma Prawa, grzech jest w stanie śmierci” (Rz 7, 8).

Taka zwariowana – zdekonstruowana i użyta nie by ujawnić, ale by ukryć grzech – antyteologia postchrześcijańska staje się uzasadnieniem walki z każdym prawem. Opresyjne i przemocowe okazują się prawa zwyczajowe, które respektują naturalne różnice płci; opresyjna staje się edukacja, która nie „wyzwała” naszej „natury” (czyli żądz), ale kształtuje ją i doskonali; opresyjne jest prawo państwowe, gdy próbuje chronić życie poczętych dzieci; opresyjna jest religia, bo wymaga od człowieka rozumnej służby Bogu, a nie swoim pożądaniom i wyobrażeniom. Wszystkiemu temu można wypowiedzieć wojnę, mając na ustach sprzeciw wobec „przemocy” i powołując się na chrześcijańskie miłosierdzie. Na tym polega faryzeizm czasów ostatecznych: faryzeizm ducha¹. Jego fałsz zdradza jednak fakt, że „przemoc” jest tu po prostu innym imieniem „prawa” – a tego nigdy nie usłyszeliśmy z ust Chrystusa.

¹ Zob. P. Kaznowski,
*Faryzeizm ducha – choroba
postchrześcijańska*,
christianitas.org,
21.10.2014.

Przykład: przemoc walki z homofobią

Zobaczymy na przykładzie, jak kłamstwo ostateczne działa w praktyce.

Aby stwierdzić, że cierpimy na „homofobię”, niepotrzebne jest żadne badanie psychiatryczne. Żaden domniemany ani prawdziwy specjalista nie musi nas przebadać, aby dojść do wniosku, że cierpimy na irracjonalny lęk przed osobami wykazującymi skłonność seksualną do osób tej samej płci. Wystarczy – w dyskusji albo za naszymi plecami – aby ktoś nie zgodził się z naszym, choćby uzasadnionym, sprzeciwem wobec par jedнопłciowych i ich aktów seksualnych. Wystarczy, jeśli je potępimy i nie chcemy, aby w praktyce społecznej i prawie państwowym zostały zrównane z instytucją rodziny składającej się z mężczyzny i kobiety.

Tyle wystarczy: wystarczy, że mamy po prostu inne poglądy niż przeciwnik „homofobii”.

Ktoś, kto posługuje się pojęciem homofobii, w ten sposób czerpie z niego oczywiste zyski: może przestać być naszym dyskutantem, a może zacząć być naszym domorosłym psychologiem i diagnostą. Nie musi już brać udziału w równej dyskusji na argumenty, ale może ustawić się ponad nami, jako ktoś, kto pochyla się nad naszym zaburzeniem psychicznym. Kiedy uzna nas za „homofoba”, może przestać z nami dyskutować na poziomie rzeczowym; może przestać przejmować się naszymi argumentami. Zamiast tego może zająć się wyjaśnianiem naszego stanu psychicznego – nasze argumenty przestają być istotne, ponieważ jesteśmy ludźmi „zaburzonymi”, cierpimy na irracjonalny lęk przed „osobami homoseksualnymi”. Ta diagnoza jest oczywiście całkowicie arbitralna.

Taki zysk w dyskusji jest rzecz jasna nieuczciwy – najczęściej taka osoba nie ma żadnych podstaw, aby uznać, że nasze poglądy biorą się z irracjonalnych lęków i tylko przez nie mają być tłumaczone. „Objawem” lęku nie musi tu być bowiem to co zwykle: symptomy somatyczne (drżenie kończyn, pocenie się), agresja słowna, niezdolność do normalnego funkcjonowania wśród ludzi. Objawem są wyłącznie same poglądy, nawet jeśli wyrażane są w sposób najbardziej wyważony. Przeciwnik „homofobii”, podobnie jak wielu przeciwników „islamofobii” czy „ksenofobii”, po prostu nie chce z nami dyskutować. Albo nawet: „nie chce mu się” z nami dyskutować; czasem zwyczajnie nie potrafi. Zamiast tego chce wysłać nas do specjalisty, który nas wyleczy.

Na tym polega „przemocowy” (jak powiedzieliby przeciwnicy homofobii) charakter działań uczestników wszelkich kampanii przeciw „homofobii” i innym podobnym „zaburzeniom”. Jest to przemoc w bardzo klasycznym sensie: tam, gdzie należy użyć siły argumentu (a jej nie ma), sięga się po argument siły. Ta kampania przeciw homofobii może toczyć się za pomocą słów: przez odmowę dyskusji i rozpoczęcie diagnozy. Zamiast dyskutować, werbalnie „zawija się w kaftan” i w majestacie „nauki” zawozi do zakładu dla psychicznie chorych. Kampania ta może też przybierać formy bardziej złowrogie, kiedy ideologia „walki z homofobią” uzyskuje wcielenie instytucjonalne i za używanie pewnych argumentów grożą po prostu konsekwencje karne.

Jest to typowy nowoczesny mechanizm nagiej przemocy, podpierającej się rzekomymi odkryciami „pseudonauki”. Przeciwnicy homofobii w warstwie „argumentacji” nie różnią się więc wiele od zwykłych rasistów, którzy uzasadniali swoje wykluczenie określonych grup rasami „naukowymi”. Różne „odkrycia” służą im jako racjonalistyczny „parawan” dla nagiej i ślepej woli, chcącej przeforsować swoje partykularne pragnienia. Argumenty nie mają tu większego znaczenia. Liczy się tylko siła: ta, o którą dopiero się starają uczestnicy rozmaitych kampanii i parad, oraz ta, którą już posiadli.

Powrót tragedii albo kultura jako źródło cierpień

Stosunek do prawa w całym tym procederze jest ambiwalentny.

Z jednej strony prawo Boże, naturalne oraz stanowione (o ile podąża za dwoma pierwszymi), odrzuca się jako przemocowe: sam pomysł, że sprzeciw wobec homoseksualizmu może przybrać postać sformułowanej jasno normy społecznej, odbierany jest dziś jako przemoc: właśnie dlatego, że w cywilizacji postchrześcijańskiej każda norma, która nie pozostawia upadłej natury samej sobie, ale chce ją doskonalić i stawia jej wymagania, będzie nazwana „przemocową”. Wobec własnej winy, którą odsłania prawo, reakcją jest obwinienie prawa: gdy prawo i powołujący się na nią ludzie zostaną uznani za winnych, to ich (zamiast samych siebie) można oskarżyć. Jest to dobrze znany mechanizm wyszukiwania kozła ofiarnego.

Z drugiej strony istnieje świadomość, że prawo stanowione jest źródłem siły – ponieważ zaś przeciwnicy „homofobii” i zwolennicy innych pożądlivości szukają właśnie siły, szybko staje się oczywiste, że prawo stanowione należy nie odrzucić, ale zmienić i uczynić zgodnym z własnym pożądaniami. Oczywiście „pożądanie” to uważa się za naturalne, a samą naturę utożsamia się po prostu z sumą aktualnych pożądań, których nie należy doskonalić i przekształcać, tylko należy nauczyć się je wyrażać i realizować. Jest to dobrze znana różnica między doskonaleniem się a „wyrażaniem siebie”. W tym ostatnim sposobie myślenia respektuje się prawo o tyle, o ile gwarantuje ono ludziom „wolność ekspresji”, a jedynym ograniczeniem tej zasady jest wolność negatywna innych jednostek. Ostatecznie więc i kultura postchrześcijańska

cenic będzie rozmaite prawa „człowieka i obywatela”, ale ich „sprawiedliwość” utożsamiona będzie po prostu z nienakładaniem ograniczeń naturze, a sama natura rozumiana jako „puste”, nieokreślone miejsce, które może zostać zajęte przez dowolne z ludzkich pożądań i pragnień.

Postulat respektowania tak pojętej natury będzie podparty właśnie postchrześcijańskim wezwaniem do miłosierdzia i sprzeciwu wobec każdej formy przemocy. To jednak, co rozumie się tutaj pod pojęciem „przemocy”, oparte jest oczywiście na kłamstwie ostatecznym: na uznaniu prawa za przemoc. To uwikłanie postchrześcijaństwa w chrześcijańską obietnicę jest zatem źródłem jego rozdzielenia, które widzimy też we wspomnianym wyżej ambiwalentnym stosunku do prawa: z jednej strony każde prawo (a więc każde wymaganie, pochodzące z zewnątrz pożądań jednostki) jest „przemocą”, z drugiej zaś, ze względów pragmatycznych, prawo i instytucje społeczne są niezbędne. To rozdzielenie staje się źródłem tragedii.

Najsłynniejszą artykulację tragicznej świadomości nieszcześliwej postchrześcijaństwa zawdzięczamy Rousseau – zawarta jest ona u niego w postaci dylematu, który można streścić następująco: człowiek czy obywatel? Jest to dokładnie ta wspomniana antynomia między przekonaniem o immanentnej doskonałości natury ludzkiej a koniecznością istnienia instytucji i kultury. Instytucje te w znacznej mierze zajmują się niwelowaniem skutku swoich własnych działań, jakim jest alienacja w stosunku do stanu natury. Tragedia nie może być poważanym gatunkiem w cywilizacji chrześcijańskiej – w cywilizacji tej staje się jasne, że prawdziwa jest tylko boska komedia, ponieważ prawdziwa jest obietnica pojednania przez łaskę sprzeczności między szczęściem człowieka a jego naturą. Koniec cywilizacji chrześcijańskiej oznacza więc powrót tragedii i powrót mitu, który tragedia opowiada – tym razem nieuchronna, tragiczna sprzeczność zachodzi między naturą ludzką a instytucjami służącymi jej realizacji.

Tragedia kultury postchrześcijańskiej polega, jak każda tragedia, na tym, że jej bohater, chcąc osiągnąć określony skutek, zmuszony jest podjąć działania, których właśnie pragnął uniknąć. Kultura postchrześcijańska, chcąc zbudować społeczeństwo „wolnych ludzi” wyzwolonych od przemocy prawa, musi ów stan – czy też

to, co w danym momencie utożsamia z tak rozumianą wolnością – zadekretować prawem i narzucić. Ta wewnętrzna sprzeczność, gdy zostanie odkryta, zamienia świadomość postchrześcijańską w świadomość nieszczęśliwą i tragiczną. Od tej tragedii, dopóki pozostaje się wewnątrz kłamstwa ostatecznego, nie ma ucieczki: możliwe są tylko cykle eskalacji konfliktu i oczyszczenia, polegające na zgładzeniu kozła ofiarnego. Ponieważ jednak prawda o naturze i prawie – prawda chrześcijańska – pozostaje ukryta, ten mitologiczny cykl nie może zostać przerwany. Kultura zaczyna jawić się jako źródło cierpień.

Nie oznacza to, że kultura chrześcijańska była ich pozbawiona – zdarzały się w niej okresy i sytuacje, które brutalnością swojej przemocy nie ustępowały przemocy cywilizacji współczesnej. Jednakże podstawowe normy i prawa (choćby łamane) oświetlone były światłem objawienia – nawet jeśli niemożliwe wówczas było pełne wyzwolenie się od przemocy, łatwiej było ją zdemaskować, co samo w sobie już stanowi warunek wszelkiego rzeczywistego wyzwolenia. Z drugiej strony niezafałszowane rozumienie natury ludzkiej nie pozwalało przedstawić wielu sprawiedliwych wymagań prawa jako „opresyjnych” i „przemocowych”.

Dlatego powiedzenie, że emancypacyjne tradycje nowoczesności zawdzięczają swój impuls uniwersalistycznej inspiracji Ewangelii, jest prawdą tylko w takiej mierze, w jakiej kłamstwo ostateczne zawdzięcza swoją moc temu, że opiera się na odłamkach zdekonstruowanej i rozbitej prawdy chrześcijańskiej. Prawdą jest więc, że sprzeciw wobec niesprawiedliwych stosunków pracy czy ucimienia zniewolonych narodów jest sprzeciwem chrześcijańskim. Niemniej prawdą jest również, że projekty emancypacji od tego i innych rodzajów zniewolenia w tradycji politycznej nowoczesności często napędzane były i są ideologią opartą na kłamstwie ostatecznym.

Ideologia emancypacyjna wprowadziła pojęcie natury ludzkiej, które sprawia, że „przemocą” jest już nie tylko bezzasadne użycie siły, ale każda próba formowania natury ludzkiej. Gdy w ten sposób określiło się wroga, można było zająć się zwalczaniem tak rozumianej „przemocy” (np. „przemocy symbolicznej”, religii etc.). Dopóki bowiem nie uznano, że prawo jest przemocą, wiele z tego, co dzisiaj uważamy za przemoc, nawet się takim nie

wydawało. Nadaje to jeszcze głębszy, ironiczny sens tezie, że emancypacyjna ideologia postchrześcijańska zajmuje się dokładnie tym, co przewidział w jej programie Rousseau: usuwaniem skutków, które sama generuje.

Dlatego ważniejsze niż wskazanie na chrześcijański rodowód inspiracji lewicy będzie zdemaskowanie kłamstwa ideologii emancypacyjnej: kłamstwa ostatecznego. Można to wyrazić w ten sposób: lewica zasłoniła mechanizmy przemocy odsłonięte przez chrześcijaństwo. Jej ideologia jest regresem do fazy mitycznej; współczesna „walka z przemocą” i „emancypacja” jest powrotem do mitologii: do ukrytych mechanizmów przemocy (np. aborcja, biopolityka, seksualizacja, niszczenie rodziny). Skoro prawda chrześcijańska jest prawdą ostateczną, to zbudowany z jej okrucichów mit – mit „wyzwolenia od przemocy” – będzie mitem ostatecznym, opartym na kłamstwie ostatecznym.

Kiedy prawo zabija?

Z tego punktu widzenia widać zarazem, że konserwatyzm nie jest wiecznym przeciwnikiem ideologii emancypacyjnej: ta ostatnia, osiągnąwszy fazę świadomości nieszczęśliwej, zaczyna rozumieć, że potrzebuje jakiegoś kwantum stabilności i instytucjonalnego zabezpieczenia, by utrzymywać zdobycze rewolucji i – może nieco wolniej – rozszerzać swoje wpływy. Gdy emancypacyjny lewicowiec zaczyna to rozumieć, staje się konserwatystą. Oczywiście mogą go różnić od rozmaitych, prawicowych konserwatystów konkretne cele, jakie stawia swojej polityce, ale sposób ich uzasadnienia pozostaje ten sam. Obaj, konserwatysta i nowoczesny działacz emancypacyjny, zgadzają się, że natura ludzka stanowi właściwie system zamknięty i autoteliczny, któremu jedyne, czego potrzeba, to zagwarantowanie stabilności zapewniającej mu pomyślny rozwój. Zasadność wszelkich form życia, których kształt określa prawo, sprowadza się ostatecznie dla konserwatysty i działacza emancypacyjnego do tego, że oferują one pewną „tożsamość”, która normalizuje ludzkie pożądlivości – zasada przyjemności domaga się ograniczenia przez zasadę zachowania.

Na tę antropologię można spojrzeć jako na próbę wskrzeszenia pogańskiej etyki Arystotelesa, która załamuje się dlatego, że po

Chrystusie, aby być arystotelikiem, z konieczności trzeba być chrześcijaninem. Na stabilności życia – na jego stałości, niepodatności na wpływy losu i panowaniu nad sobą oraz swoimi żądzami – polega zdaniem Arystotelesa szczęście. Mówiąc krótko: szczęście polegało dla niego na upodobnieniu się do Nieporuszonego Poruszyciela. Objawienie chrześcijańskie przynosi jednak prawdę, którą po nim można już tylko przyjąć albo wyprzeć, ale nie da się jej zaprzeczyć: natura ludzka jest trwale skażona; „wszyscy zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej”; prawa – a więc normy i reguły stabilizujące nasze działania – nikt nie jest w stanie wypełnić, a więc takie arystoteleskie szczęście jest siłami ludzkimi nieosiągalne. Kultura postchrześcijańska zdaje sobie z tego sprawę, lecz jej tragedia polega na tym, że odmawia ona przyjęcia remedium na stan rzeczy, jakim jest łaska, która zadość czyni prawu. Tylko łaska pozwala osiągnąć stabilność ostateczną, która inaczej jest nierealizowalna. To właśnie staje się źródłem postchrześcijańskiej tragedii. Nietzsche właśnie za to nienawidził chrześcijaństwa, że ugodziło ono tą prawdą ludzkość i uzależniło ją od leku, na który tylko ono posiada monopol – że uzależniło ją od łaski.

Próbując więc stworzyć system społeczny, w którym zasada zachowania poskramia zasadę przyjemności, próbuje zachowywać się po arystotelesku tam, gdzie nie ma już pogańskiej naiwności (albo kłamstwa) dotyczącej ludzkiej natury: „zasada przyjemności”, albo też „pożądliwość” jako podstawowy popęd natury nie może być – jak wyobrażali sobie starożytni – harmonijnym pragnieniem szczęścia. Jest egoistyczna i zaborcza, ostatecznie zwraca się przeciwko innym, a także niszczy tego, kto jej ulega. Skoro jednakże odrzuca się łaskę, która „buduje na naturze”, jedynym wyjściem staje się przeciwna zasadzie przyjemności zasada zachowania, która w sposób sztuczny poskromi destrukcyjne zapędy upadłej natury.

W takiej postchrześcijańskiej (ale też radykalnie sprzecznej z zasadami etyki antycznych pogan) ideologii świat ludzki dzieli się na zamkniętą w sobie „naturę” czy też „nagie życie” oraz nałożone na nie w sposób arbitralny, ale niezbędne, „tożsamość” i „prawo”. Między tymi dwoma sferami nie ma relacji głębokiej odpowiedniości: natura ludzka nie może być doskonała, prawo nie może służyć wychowaniu i przekształceniu pragnień. Jego

jedyne zadanie polega na ograniczaniu, dyscyplinowaniu i karaniu natury, bez zmiany jej wewnętrznej dynamiki. Takie właśnie prawo musi się jawić jako przemoc – w istocie bowiem nią jest. Jest, jak się sądzi, „niezbędną” przemocą.

Takie spojrzenie na etykę (i wynikającą z niej politykę) ma konsekwencje irracjonalistyczne. Każdy irracjonalizm uniemożliwia rzeczywistą dyskusję i zrozumienie, a więc jest źródłem potencjalnej przemocy. Oto bowiem tam, gdzie prawo jest formą narzuconą przemocą na potencjalność nagiego życia, niemożliwa staje dyskusja na temat zasadności formy, jakie przybiera nasze życie. „Tożsamość” – bo tym jest ta arbitralna forma, którą post-chrześcijański człowiek wybiera aktem samej woli – jest czymś, czego ostatecznie nie da się wyjaśnić inaczej niż funkcjonalnie („jakąś tożsamość trzeba mieć”). Wyjaśnienie funkcjonalne nie jest jednak uzasadnieniem w znaczeniu podania metafizycznej racji: jest tylko wskazaniem na pewną pragmatyczną konieczność.

Jednym z klasycznych przejawów tego sposobu myślenia jest doktryna radykalnej różnicy między „faktami” a „wartościami”. Fakty dotyczą sfery obiektywnej – empirycznie i bezstronnie weryfikowalnych cech rzeczywistości materialnej. Wartości obejmują całą sferę ludzkich działań i preferencji – są arbitralnie wybranymi przez jednostkę systemami wyjaśnień, jakie narzuca ona na rzeczywistość obiektywną (w tym rzeczywistość swojego życia), która bez nich pozostałaby „bezsensowna”. Teoria arbitralnego wyboru wartości ma konsekwencje przemocowe, jak każdy irracjonalizm: okazuje się bowiem, że „wartości” afirmuje się aktem nagiej woli. Niemożliwa staje się zatem rzeczowa dyskusja dotycząca racji naszych decyzji i sposobów życia – każdego prawa, które reguluje nasze działania. Podział na fakty i wartości dewastuje zdrowy rozsądek praktyczny – ludzie bowiem na ogół uważają, że istnieją pewne obiektywne racje dla dobra, które wybierają. Innymi słowy: że prawo, któremu się podporządkowują, nie jest przemocą, tylko wynika w jakiś sposób z „natury rzeczy”, której dotyczy.

Ta prawda jest wciąż obecna w naszym potocznym myśleniu, o ile nie poddajemy się ideologii kłamstwa ostatecznego. Jednakże bez świadomości chrześcijańskiej tej potocznej intuicji nie da się obronić. A to dlatego, że po odsłonięciu grzechu przez Chrystusa

jedyną odpowiedzią na prawdę o naszej upadłej rzeczywistości jest łaska. Tylko ona nas usprawiedliwia, to znaczy pozwala w ostatecznym rozrachunku uznać nasze życie za rozumne i zgodne z prawem. Bez niej nieszczęśliwa świadomość tragiczna staje się koniecznością, o ile zechce się doprowadzić rozpoznania dotyczące prawa i przemocy do końca. Bez łaski święte prawo musi wydać na nas wyrok potępienia. ■